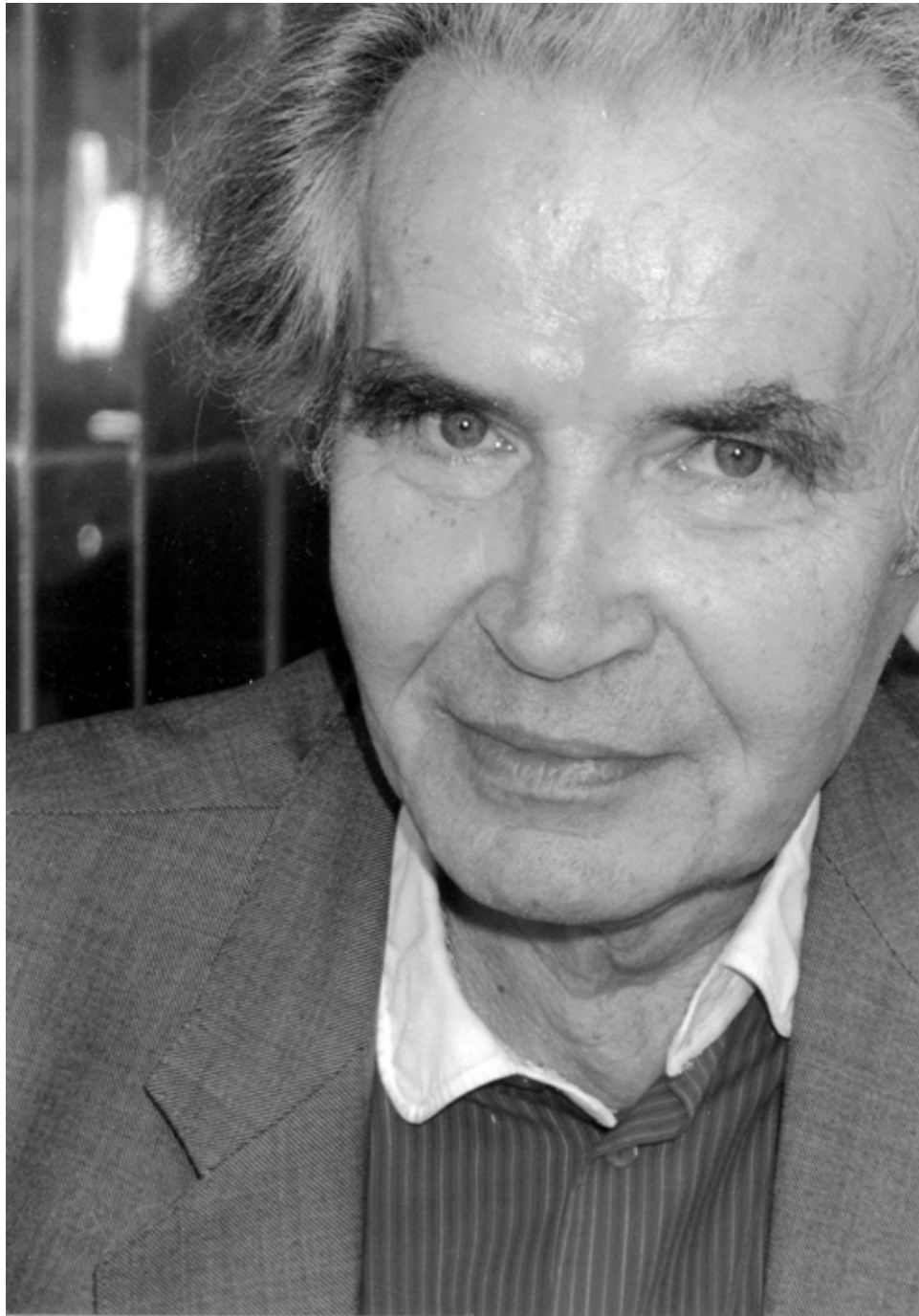


**Arriba Silesia. Wspomnienie
o Jerzym Pietrkiewiczu
(1916-2007).**



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzieńczych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocięsział się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie wagność tego co zrobiłem*.

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Objął je z wielkim poczuciem wagi

eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciął się od staromodnych, słabą angielszczyzną wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane. Przemysłnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytna i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących światel, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a później Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawią znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie związawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamieny epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord” wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopsku”.

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let”. Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w

tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaż stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą – napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam”, wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence”. Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East European Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska...Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) – może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoły w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmiennie. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem

(Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepelniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie...

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”, „Piąty poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.

*

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sędzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Druga strona milczenia

Jerzy Pietrkiewicz



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Arch. Emigracji.

Rozdział III

Dojrzałi poeci wobec czynu

(fragment)

1.

Byłoby naiwnością sugerować, że dotrwanie poety do wieku dojrzałego oznacza

koniecznie przetrwanie w nim doskonałego artysty. Ogólnie rzecz biorąc, poeci drugorzędni mają więcej szans na dostosowanie swoich zdolności do nowych warunków tworzenia, które wymagają mniej czarodziejskich zaklęć, a więcej umiejętności warsztatowych. Nie ulegają łatwo pokusie popadania w zadumę i służenia ideałom. Oczekują zapłaty za swój trud w postaci wyboru do jakiejś literackiej akademii albo nagrody literackiej z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia lub pięćdziesięciolecia twórczości poetyckiej.

Istnieje jednak inna, bardziej interesująca droga, którą może pójść dojrzały poeta. Pokusy, jakim musi stawić czoło, odwodzą go od uprawiania sztuki, a najsilniejszą z nich jest oddanie się na służbę jakiejś wielkiej sprawie. Wtedy poeta ma już wystarczająco dużo doświadczenia, jest też na tyle ostrożny, aby nie nadużywać swego pióra, a swoją niewiarę we wszelkie retoryczne deklaracje oprzeć na czasowym odrzuceniu poetyckich zaklęć. Jednocześnie jego reputacja dostarcza mu wiarygodnej wymówki do tego, by zaprzestać pisania. Oddaje się on wówczas aktywnej służbie. Gdyby jacyś ludzie zaczęli spoglądać na niego jak na umarłego poetę, nie poczułby się obrażony. Określenie „poeta, który padł w boju”, nawet w ujęciu metaforycznym, wydaje się mu całkiem do przyjęcia.

Dziewiętnastowiecznym poetą walki, człowiekiem, który zamienił płaszcz romantycznego podróżnika na żołnierski mundur, był Byron. Nie miało znaczenia to, że nie zginął w boju; do heroicznego mitu przeszła już sama nazwa greckiego miasteczka Missolongi, w którym zabiła go gorączka reumatyczna. Tym, co się liczyło, były jego szlachetne intencje. Wielu jego wielbicieli spoza Anglii znało tylko nieliczne szczegóły, dotyczące okoliczności jego śmierci; w ich oczach była to śmierć bohatera. Bo też gest Byrona w niczym nie przypominał postawy, jaką przyjęło wielu poetów-dziennikarzy, propagandystów „słusznej sprawy”, nadsyłających w okresie hiszpańskiej wojny domowej sprawozdania z linii frontu. Najbliższym odpowiednikiem losu Byrona w tym stuleciu (tj. w XX w. – przyp. tłum.) byłaby śmierć Ruperta Brooke`a w drodze na Dardanele: pogrzeb tego poety na Skyros, wyspie Achillesa, otoczył mityczną aurą jego wojenne sonety.

Dnia 22 stycznia 1824 roku, w swoje trzydzieste szóste urodziny, Byron napisał ostatni znaczący wiersz, będący psychologicznym kluczem do zrozumienia jego aktywnego życia. W nastroju niewątpliwej szczerości pyta w nim o słuszność swych

pasji. Każda ze strof mówi o emocjonalnym wyczerpaniu poety, które jednakże nie wydaje się być zwykłym, romantycznym rozmarzeniem. Przeciwnie, uderza czytelnika jako próba dokładnego opisu następujących po sobie stanów ducha poety w sytuacji, gdy w nagłym olśnieniu pojmuje on znaczenie kolejnych wyborów. (...)

Pragnienie śmierci sięgnęło tu szczytu, ale tym razem owa „na polu walki... śmierć chwalebna” oznacza zarówno zrozumienie znaczenia historycznej chwili, jak i bardzo osobiste poczucie obowiązku. Grecja jest dla Byrona czymś więcej niż tylko sprawą, za którą poeta walczy, tak jak jego poczucie obowiązku wykracza poza granice jego osobistych wyborów. Wie, że nie istnieje nic, co zdołałoby precyzyjnie określić jego wygasłe namiętności. „Robactwo, rak i cierpień moce - to mnie ogarnie!” Nie ma żadnej retoryki w tym stwierdzeniu kończącym drugą strofę. W szóstej („chwała i Grecja”) i w siódmej („Zbudź się, mój duchu!”) Byron wraca do techniki magicznych zaklęć; jest to pozbawiony szczerego entuzjazmu skok ku ekstazie, nieprzekonywający w każdym z użytych tu wykrzykników. Rzeczywista walka nie potrzebuje ostróg w postaci słów, musi stać się faktem godnym upamiętnienia, i Byron dobrze o tym wie.

Ponieważ czynne działanie oznacza wyjście poza poezję, choćby było to tylko chwilowe narażenie się na niebezpieczeństwo, odciąga ono Byrona od retorycznych rozważań o śmierci i stawia go w obliczu chwalebnej rzeczywistości jego własnego końca. Można więc spojrzeć na „żołnierski grób”, za którym goni, jako na oczywistą konsekwencję prowadzonej przez niego walki, a także jako na sąd potępiający *in absentia* całą poezję. Zwrot „w żołnierskim tylko grobie szukaj posłania” jest wciąż retorycznym tylko żądaniem przy końcu wiersza; rzeczywisty wybór przyszedł o wiele wcześniej, wraz ze zrozumieniem dwoistego sensu historii i obowiązku, z uświadomieniem sobie, że ta pierwsza nie urzeczywistni się bez tego drugiego.

A jednak to grecki epizod ostatecznie uchronił poezję Byrona od wrogiego krytycyzmu i nieprzychylnego grzebania w życiorysie poety. Bez względu na to, jak często krytycy przypisywali nieszczerłość pisarstwu Byrona, jego śmierć w Missolongi uwolniła przynajmniej niektóre poematy od uwłaczających oskarżeń. Uratował on swe poetyckie oblicze w oczach tych, którzy nie umieją oddzielić biografii pisarza od jego twórczości. Ten pozytywny wyłom pozwolił na poszukiwanie Byrona-poety także w innych jego dziełach. Przedmiotem pochwał są dziś jego „Vision of Judgement” i

„Beppo”, a wirtuozeria „Dona Juana”, zawsze zresztą doceniana, przypisywana jest, niezależnie od warsztatowej zręczności, poetyckiej wyobraźni autora. (...)

Kuszące byłoby przeanalizowanie, czy w ostatecznym rozrachunku istnieje takie zjawisko, jak poetyka walki, rzucająca tak budujący blask na poetykę słów, że wcześniej napisane dzieła, nie mające z tą walką żadnego związku, zdają się odbijać ją mimo wszystko, zyskując w ten sposób na swoim znaczeniu. W jakim stopniu instynkt poety, podpowiadający mu zaangażowanie się w godnej upamiętnienia walce, bierze w istocie w obronę jego zagrożone dzieła, które mogą zostać zignorowane przez przyszłe pokolenia?

Jeśli Byron odczuwał potrzebę stworzenia heroicznego mitu własnej osoby, musiał też zdawać sobie sprawę ze słabości swej sztuki.

2.

Postanowienie Adama Mickiewicza, aby stać się człowiekiem czynu, przypominało decyzję Byrona. Podobnie nieoczekiwany był jego skutek. Mickiewicz zmarł w roku 1855 w Konstantynopolu na cholera, a nie od rosyjskiej kuli. W czasie wojny krymskiej zaczęto formować polski legion i Mickiewicz udał się do Turcji, aby pomóc w jego organizowaniu i wypróbować samego siebie w bezpośredniej, patriotycznej akcji. Tego pięćdziesięciosiedmioletniego wówczas, przedwcześnie postarzałego człowieka, można by określić bez żadnej niechęci jako umarłego poetę, który od dwudziestu lat nie napisał dosłownie nic. Był w tym okresie wykładowcą, najpierw w szwajcarskiej akademii w Lozannie, potem w College de France. Wydawał też w języku francuskim tygodnik („La Tribune des Peuples”), a wreszcie został bibliotekarzem, która to posada była skromną synekurą. Mimo iż decyzja udania się do Turcji wynikała z jego politycznej działalności, osoby wspierające jego misję (takie jak książę Czartoryski czy Zamoyski) nadal widzieli w nim narodowego barda, być może niewygodnego pod pewnymi względami, pod innymi jednak jak najbardziej użytecznego dla propagowania sprawy polskiej. Liczyło się jego nazwisko.

Bez swych poetyckich osiągnięć w przeszłości Mickiewicz byłby mało wartościowym nabytkiem dla sprawy. One właśnie dały mu duchową legitymację do podjęcia czynnych działań. I podobnie jak Byron, którego podziwiał i tłumaczył, odczuwał potrzebę dostosowania świata swej wyobraźni do wymiarów praktycznego działania.

O ile można sądzić na podstawie dokumentów, nie dorównywał Byronowi pod względem zdolności organizacyjnych. Także jego osobisty magnetyzm nie pozwoliłby mu na odniesienie sukcesów przywódczych, jakie stały się udziałem angielskiego poety. Miał jednak pewne doświadczenie w prowadzeniu zakulisowej polityki w okresie rewolucyjnego zamętu roku 1848. Dowodził legionem polskim we Włoszech, na rzecz którego agitował nader skutecznie, ale jednostka ta, pod względem liczebności, była bardzo skromnym przedsięwzięciem. W istocie, nawet wspomnienia sympatyzujących ze sprawą świadków nie były w stanie ukryć rozczarowania na widok maszerujących legionistów. Niejaki G.A. Cesano zanotował, jak to pierwszego maja 1848 roku koło Porta Romana w Mediolanie zgromadził się tłum, aby uczcić polskich żołnierzy. Zamiast legionu ujrzano postarzałego człowieka, za którym szło jedenastu ludzi, w tym jeden garbus. Wzruszającym dowódcą krocącym na czele był oczywiście Mickiewicz. Jeśli przemarsz ten ilustrował pogardę poety dla rzeczywistych faktów, które inni ludzie mogli zmierzyć własnymi oczami, to wyzwanie to nie miało dość siły, aby przydać romantycznej otoczki późniejszym wspomnieniom, kiedy doszło do ich spisania.

W jakim stopniu Mickiewicz zapamiętał ironiczną lekcję 1848 roku? Czy postanawiając udać się do Turcji rzucał wyzwanie samemu sobie?

O wiele ważniejszym przy ustalaniu motywów, jakimi się kierował, wydaje się być powracający w jego utworach motyw dynamicznego działania, stawiający zawsze głównych bohaterów w jakiejś kłopotliwej moralnie sytuacji, czy będzie nią patriotyczna zemsta poprzez zdradę, jak w „Konradzie Wallenrodzie”, czy ukrycie się pod zakonnym habitem przez człowieka, pragnącego okupić patriotycznym czynem dawną winę, jak w „Panu Tadeuszu”. Bohater musi przejść całkowitą transformację, począwszy od przyjęcia nowego imienia i nowych szat. W każdym jednak przypadku transformacja ta nie może dojść do skutku bez bezpośredniego udziału w jakiejś akcji. Zły uczynek, jakkolwiek okupiony przez poświęcenie, musi zostać w końcu zrównoważony skalą podjętego działania. Na przykład, Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu” nosi habit mnicha i żyje w ubóstwie, ostatecznie jednak stawia czoło, jak na początku, niebezpieczeństwom prawdziwej bitwy.

Kiedy natomiast, jak w dramacie „Dziady”, *alter ego* autora otrzymuje jednoznaczne upostaciowanie, bohater okazuje się być poetą i znowu otrzymuje imię Konrad.

Wypróbowuje potęgę swego słowa rzucając w nadprzyrodzonej sferze ducha wyzwanie Bogu, będąc w świecie rzeczywistej walki więźniem oczekującym zesłania. Bezczyność narzucona tu człowiekowi czynu ma z pewnością znaczenie symbolu.

Można się zastanawiać nad tym, czy Mickiewicz doprowadziłby przenikniętą poetyckim duchem osobę Konrada do końca dramatu. Czy oddzieliłby całkowicie od poezji, to znaczy od iluzorycznej potęgi słowa, finałową scenę odkupienia? Wskazuje na to jeden fakt: dramat jest niedokończonym dziełem nie dlatego, że tak został pomyślany, zgodnie z romantyczną modą na pozostawianie arcydzieł jako monumentalnych rumowisk. Mickiewicz pragnął, aby „Dziady” były jego głównym dziełem, faustowskim wyrażeniem jego własnego życia. Cenił je wyżej od wszystkich innych swoich utworów. Nawet w okresie jałowych lat po napisaniu „Pana Tadeusza” wracał do „Dziadów”, uzupełniając je scenami, które potem zniszczył. Dramat był najwyraźniej pomyślany jako integralna całość, i to mimo pozornej przypadkowości numeracji poszczególnych części i fragmentów. Pragnął go dokończyć, ponieważ był on tak jednolity pod względem duchowej koncepcji, i świadomość, że jego wyobraźnia odwróciła się od tego dzieła, musiała być dla poety źródłem rozpacz.

Pozostaje jednak znaczącym faktem, że pozostawił „Dziady” niedokończone, i bez względu na to, jakie powody można przypisać temu niepowodzeniu, pozostaje ono w związku z decyzją podjęcia czynnej walki, która, być może nieświadomie, była jednoznaczna z wybraniem śmierci przez poetę od dawna już umarłego. Jeden z jego późnych liryków, napisany w Lozannie, rozpoczyna się od słów: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada”. Nie jest to makabryczny początek romantycznej ballady, ale osobiste wyznanie. (...)

3.

Poetą, który w nowszych czasach zdał sobie w pełni sprawę z ograniczeń, jakie poezja liryczna narzuca czynnemu działaniu i na odwrót, był Yeats. Bez reszty angażował się on w walkę o narodową kulturę i niezależność polityczną Irlandii. Z powodzeniem walczył o stworzenie irlandzkiego teatru. Podziwiał politycznych aktywistów Johna O`Leary i Maude Gonno, identyfikował się też z buntami wielkanocnymi 1916 roku. Jeśli marzycki bard także ma wziąć na siebie odpowiedzialność, to tytuł „Responsibilities” jest dla Yeatsa bardzo znamieny. Ale

kryzys, który dotknął go w wieku dojrzałym, dotyczył poetyckiego stylu. Yeats żył jednak wystarczająco długo, aby spojrzeć trzeźwo na swoje poprzednie rozczarowania. Bo mimo wszystko historia dogoniła jego marzenia. Niedługo po tym, gdy zawołał z poirytowaniem: „Moje marzenia wyczerpały się” ⁴/, Irlandia zdobyła status wolnego państwa, a on sam został w tym samym 1922 roku senatorem.

Gdy tu wróciłem - pisał w styczniu 1923 roku do Roberta Bridgesa - okazało się, że mam zasiadać w Senacie, który wprowadzie nie łamie porządku moich poranków, kiedy piszę wiersze i tym podobne rzeczy, ale zabrał mi sporą liczbę popołudniowych godzin, w których piszę listy.

Od czasu do czasu zabierał głos na posiedzeniach Senatu. W roku 1926 zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego komisji, która miała służyć doradztwem w sprawie nowych monet dla irlandzkiego państwa. Odrzucił jednak stanowiska w służbie publicznej, nie bacząc na ich ważność. Czynne działanie przestało być dla niego alternatywą dla pisania. Nie mogło zresztą kusić go zbyt w sytuacji, gdy zostało zredukowane do poziomu bieżących, codziennych spraw. Wtedy właśnie rzemiosło barda zażądało od swego dawnego adepta skorygowanego rachunku. Wydaje mi się przy tym rzeczą nieistotną, czy Yeats podjął to odmładzające przeobrażenie, żeby oszukać swój wiek, czy też samą poezję. Na nowo wszakże uświadomił sobie dylemat, przed jakim stoi artysta, wyrażony przez niego jeszcze w roku 1910. (...)

Jeśli od bezpośredniego udziału w codziennym życiu, rozumianego zarówno jako wewnętrzna potrzeba, jak i swego rodzaju służba, ważniejsze okazuje się przyzwyczajenie poety do mozolnego trudu składania wierszy, to pokusa aktywnego udziału w jakiejś misji zostaje zredukowana do pozornego tylko obowiązku i przestaje być nagłym nakazem.

W tym świetle powinno się, jak myślę, lepiej rozumieć kryzys zaangażowania, jaki objawił się w okresie powojennym. Poeci dojrzeli naraz, jeden po drugim, prawdziwe mechanizmy powstawania różnych ideologii, w większości błędnych i dlatego skazanych na upadek. I jeśli poeta działał kiedyś, jako naiwny wyznawca, zastraszonego neofita albo płatny propagator, taka działalność mogła napełnić go tylko obrzydzeniem. W całej wschodniej Europie po śmierci Stalina ci, którzy byli

piszącymi aktywistami, wyrzucili z siebie całą swoją odrazę do słów jeszcze większą lawiną słów. A sztuka pisania wierszy, nawet gdy brakło jej natchnienia, wydała się znowu godna szacunku. Nie istniała już groźba jakiejś wzniosłej, mglistej alternatywy: komplet narzędzi czekał, żeby je chwycić do ręki.

4.

Rozważania z poprzednich stron mogą dać wrażenie, że dojrzały poeta skazany jest na rozczarowanie czynnym działaniem zawsze wtedy, gdy służy mu ono jako potencjalne lekarstwo na twórcze udręki. Nie odbiera to jednak wartości doświadczeniom, zdobytym w trakcie jego uprawiania, choć mogą one dostarczyć jedynie dowodu na iluzoryczność poezji. Doświadczenie jest niewątpliwym zyskiem. To, czy jest ono w stanie uodpornić poetę, nie jest już takie pewne.

Bo zamiast posłużyć jako środek na „wyleczenie” z poezji, może zakiełkować nową poetycką gorączką. Obok rozczarowanego czynną działalnością Yeatsa staje nowy Yeats, poeta pełen namiętności i gniewu, przemawiający głosem nawiedzonego. Nie zamierzam tu kwestionować tego rodzaju doświadczenia. Nie próbuję też dyskwalifikować poety, a zarazem czynnego działacza, za brak konsekwencji. Chcę tylko podkreślić wagę samego doświadczenia, które, jakkolwiek może być czynnikiem odradzającym, nie odsłania innego oblicza poezji. Ignoruje ono potrzebę zachowania milczenia, tak jak młodość ignorowała potrzebę posiadania doświadczenia.

Po czym możemy poznać poetę, który jest o krok od wejścia na niewidzialną ścieżkę, prowadzącą ku krainie milczenia? Wydaje się on człowiekiem doskonale przystosowanym do życia w społeczeństwie, osiągnął pełnię męskich lat, ma za sobą sukcesy. Mimo wszystko zaprzeczy on jednak zarówno swym artystycznym, jak i społecznym osiągnięciom, kierując się ku tamtej stronie. Tym, co naznacza go w sposób wyraźny, jest jego rozczarowanie zdobytymi doświadczeniami.

Jerzy Pietrkiewicz: Druga strona milczenia, Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Studium o poezji polskiej i europejskiej XIX i XX w., przełożył: Jan Jackowicz.

Bolesław Taborski o twórczości literackiej Jana Pawła II



Bolesław Taborski, fot. culture.pl

Florian Śmieja

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja i Bolesław Taborski. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazłwszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i wojenną Europę, opanowali język angielski ale, choć

zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przyłgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni, z paru wyjątkami, domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, niezyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny, spadkowi trudnego dziedzictwa. Obecnie, patrzącego na dokonania tych nie wyobcowanych przez wojnę i Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności? I dochodzę do wniosku, że chyba tylko bezinteresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku. Dumiałem nad tym fenomenem nie raz.

Jeden z nich, Bolesław Taborski został w 2007 roku wyróżniony przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nagrodą za całokształt twórczości literackiej.

Przepracował 34 lata w polskiej sekcji BBC redagując magazyn artystyczno-literacki, tłumacząc angielskie sztuki i sporządzając sprawozdania z festiwali artystycznych. Była to ciężka harówka, ale doczekał się szczęśliwie emerytury. Mieszkając od 1953 roku w Londynie, był ogromnie życzliwym i koleżeńskim społecznikiem, jeździł regularnie do Polski i szczerze się udzielał w polskim życiu teatralnym.

Urodzony w Toruniu w 1927 roku brał udział w Powstaniu Warszawskim jako jeden z najmłodszych żołnierzy. Po wyjściu z niemieckiego obozu jenieckiego w Sandbostel ukończył polskie liceum w Lubece. Teatrologię studiował na angielskim uniwersytecie w Bristolu.

Potem pojawił się w Londynie i tam go poznałem. Dołączył entuzjastycznie do grupy

młodych absolwentów zainteresowanych polską literaturą i wszedł do redakcji miesięcznika "Merkuriusz Polski", a później "Kontynentów" w latach 1957-62. W tych pismach drukowaliśmy wiersze nasze i staczali pierwsze publicystyczne potyczki, kiedy zaczęły nas uwierać emigracyjne pęta. Nadzieje związane z polskim Październikiem kazały i na uchodźstwie szukać zaangażowania w budowę sprawiedliwej Polski. Taborski łatwo się entuzjazmował i wierzył zapewnieniom propagandy reżymu. W ostrych słowach potępił sytuację we władzach emigracji londyńskiej okazując pobłażanie dla niedobrych oznak na rewizjonistycznym niebie. Zdrowy instynkt kazał mu jednak bratać się z właściwymi ludźmi i wartościowymi ośrodkami. Poniechał też ambiwalentne hasła. Tymczasem został okrzyczany czarną owcą i tylko dzięki rozwadze brytyjskich szefów utrzymał się na stanowisku do końca.

Teatrolog z wykształcenia, a z zamiłowania poeta był człowiekiem niezmiernie pracowitym. Oprócz wydania dwudziestu kilku tomów poezji zaczął przekładać z języka polskiego i na polski. To dzięki niemu Anglosasi poznali trzy tomy esejów Jan Kotta, pisma Grotowskiego, Przybylskiej i innych autorów. Polski czytelnik otrzymał przekład powieści "Moc i chwała" Grahama Greene'a, wiersze Gravesa i Larkina oraz dwadzieścia sztuk teatralnych Pintera.



Florian Śmieja (z lewej) i Bolesław Taborski

W czerwcu 2007 r. umówiłem się z Bolkiem na spotkanie w Warszawie. Miał do nas dołączyć Janusz Ihnatowicz z Teksasu, również poeta z dawnych, londyńskich czasów, ale pilne sprawy zatrzymały go w Kielcach. Jakiś czarownik spowodował, że będąc z Bolkiem w tym samym czasie, w tym samym miejscu, nie spotkaliśmy się, aż do ponowionej próby na Mokotowie. Tam Bolek wręczył mi swoją najnowszą książkę: "Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyłe, Janie Pawle II, szkice, wspomnienia, wiersze".

To nie byle jaka książka. To świadectwo nowego, odmienionego życia. Autor we wstępie mówi:

"Książkę moją traktuję jako relację osobistą z duchowej wędrówki za wspnianym i wielkim Człowiekiem naszych czasów", a także, „chodziło mi o omówienie poezji Jana Pawła II, przybliżenie Jego dramaturgii, opisanie tego, co widziałem w Watykanie na podstawie dzienników prowadzonych przed zamachem 13 maja 1981 r., w trakcie pobytu tam, i oczywiście kontaktów osobistych i korespondencji".

Napisał ją z obowiązku jako hołd i podziękowanie za Jego obecność. Składał ją, kiedy papież chorował. Książka zdążyła na czas. Papież miał ją jeszcze w ręku i przekazał Swoje błogosławieństwo.



Taborski przedstawił w niej i zinterpretował poezje papieża od "Pieśni o Bogu ukrytym" aż po "Tryptyk rzymski". Jego kompetencja i wrażliwość poetycka są wydatną pomocą dla czytelnika, jak kiedyś służyły słuchaczowi jego audycje w BBC.

Przypomniał stwierdzenie Jana Pawła II:

"Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie szerokim nurtem natchnień, mających swe źródło w Ewangelii".

Słowa te każą myśleć o arogancji naszego domorosłego guru, który mnie karmił jeszcze w Londynie za używanie ewangelicznych ech w moich wierszach, bo uważał je za starocie. Kiedyś ludzie chodzili do kościoła i byli w kontakcie z Pismem św., perorował, ale dzisiaj?

Kolejna część książki mówi o teatrze Karola Wojtyły od zaginionego dramatu "Dawid" i przekładu "Edypa" Sofoklesa spolszczonego dla Juliusza Osterwy poprzez

szerzej omawianego "Hioba", "Jeremiasza", "Brata naszego Boga", "Przed sklepem jubilera" po "Promieniowanie ojcostwa".

W trzeciej części książki autor opowiada o swoich spotkaniach z papieżem na przestrzeni kilkadziesiąt lat. Tom zamykają wiersze Taborskiego napisane dla papieża, bibliografia i pomocny indeks osób. Rzadkie fotografie, m.in. z inscenizacji papieskich sztuk, podnoszą wyjątkowość książki poświęconej literackiej twórczości niezwykłego papieża, kustosza wielkiej nadziei.

Bolesław Taborski zmarł w 2010 roku w Londynie.

Bolesław Taborski, Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyła, Janie Pawle II szkice, wspomnienia, wiersze, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2005, str.402.

Już nie napisze

Florian Śmieja



Stefaia Kossowska, fot.
Archiwum Emigracji

W 2003 roku pod Londynem w wieku 94 lat zmarła Stefania Szurlej-Kossowska, wdowa po znanym malarzu Adamie (1905-1986). Wybitna dziennikarka i pisarka była ostatnią redaktorką historycznego już tygodnika literackiego „Wiadomości”, który prowadziła po śmierci jego założyciela, Mieczysława Grydzewskiego i jego następcy, Michała Chmielowca, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

Dzięki jej przeczności całe archiwum „Wiadomości” znalazło stałe schronienie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie stanowi nie tylko dodatkową atrakcję biblioteki, ale przede wszystkim jest bogatym źródłem wiedzy dla studentów i pracowników naukowych.

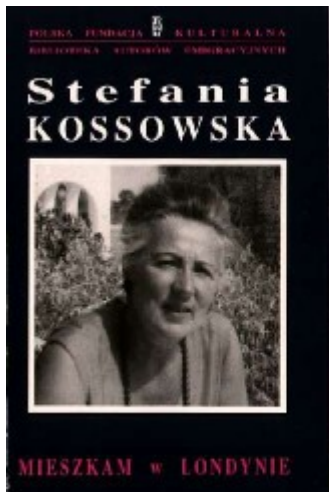


Stefania Kossowska na
rysunku Feliksa
Topolskiego, fot.
Archiwum Emigracji

Współpracowałem z Kossowską dorywczo jeszcze w „Wiadomościach”, a później, częściej, w „Środku Literackiej”, miesięcznym dodatku do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Była to współpraca przyjemna, dająca wielką satysfakcję, gdyż Kossowska potrafiła do końca pisać listy i notatki do swoich współpracowników i pięknie teksty dobierać, składać i przyozdabiać ilustracjami.

Kiedy skończyła 93 lata postanowiła zrezygnować z ulubionego zajęcia i przenieść się do polskiego ośrodka w Kent. Tam ją odwiedziłem w maju 2003 roku. Zawiozła mnie do niej Heide Bujnowska, która bardzo chciała poznać sędziwą redaktorkę.

Zastaliśmy ją w jej jasnym, dwupokojowym mieszkanku na pierwszym piętrze domu tonącego w kwiatach i angielskiej zieleni. Na stole leżały książki i czasopisma polskie, które regularnie czytała. Z dalekich krajów telefonowali przyjaciele.



Pani Stefania wyglądała uroczo. Pełna była życia i energii. Cieszyła się z wizyty i zasypywała pytaniami i informacjami. Kiedy wspomnieliśmy Herberta, nie omieszkała napomknąć, że książka Siedleckiej „Pan od polskiego”, jej zdaniem, nie była dobra, gdyż autorka nie przeprowadziła koniecznej selekcji przytoczonych źródeł. Zapamiętałem, że bardzo chwaliła powieść „Pogranicze” Hanny Świdorskiej. Podzieliła się anegdotą o

Jerzym Pietrkiewiczem, którego poznała jeszcze przed wojną w redakcji „Prosto z mostu”.

Przy pożegnaniu wręczyłem jej moją książkę „Zbliżenia i kontakty”, traktującą głównie o pisarzach i redaktorach emigracji niepodległościowej. Uradowała się i obiecała o niej do mnie napisać.

Już nie napisze, niestety. Zmarła 15 września 2003 roku.



Stefania Kossowska wraz z

Wacławem Iwaniukiem, fot.
Archiwum Emigracji



Stefania Kossowska w redakcji
„Wiadomości”, fot. Archiwum
Emigracji.

*Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto,
2003 r,*